Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 29. Maja 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 22.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

POETA I ŚWIAT

PRZEPISAŁ ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU

BOLESŁAW PRUS

(Ciąg dalszy)

Odłożywszy dalszy ciąg *Nerona* do czasów późniejszych, kiedy wypadki pozwolą mi nasycić się wrażeniami pożaru i męczeństwa, przed półtora rokiem wpadłem na pomysł znacznie mniejszego utworu, pod tytułem: *Bitwa*.

Niejednokrotnie widziałem ludzi, którzy bili się w tawernach i na ulicy. Mam nawet spory zapas notatek dotyczących: poszarpanej odzieży, rozczochranych włosów, zapienionych ust, pałających oczów, splątanych ciał przeciwników, klątw, chrapań, jęków. Na tej podstawie i na mocy prawidła, że: poecie wolno potęgować rzeczywistość, mogłem już zabrać się do pisania bitwy starożytnej, gdzieby wchodziły w grę miecze, włócznie i siła muskularna.

Ale bardziej pociągała mnie bitwa nowożytna, w której jest większa rozmaitość i groza. Dla uzupełnienia więc brakujących mi wrażeń postanowiłem zbadać: manewra z bronią ognistą.

W tym celu chodziłem na place, gdzie strzelają z armat, studjowałem mustrę piechoty i kawalerji, a w końcu powziąłem śmiały zamiar. Chciałem usłyszeć świst kul nad własną głową i poznać uczucia, jakich doświadcza żołnierz, stojący pod ogniem.

Pewnego ranka, nie widziany przez nikogo, ukryłem się za wał, przed którym stoją tarcze.

Ledwiem położył się na ziemi, usłyszałem odgłos trąb piechoty. Teraz błysnęła mi inna idea i zapytałem, czy projekt mój nie jest za ryzykowny i czy nie byłoby roztropniej stanąć o kilkadziesiąt kroków z boku?

Chciałem się nawet cofnąć, ale przyszło mi na myśl, że mogą w tej właśnie chwili rozpocząć ogień, i że cofając się z poza wału, narażę się na gorsze niebezpieczeństwo.

Nie powiem, ażebym czuł obawę, każdy jednak przyzna, że położenie moje stało się trudne...

Przypomniałem sobie, że kule z dalekonośnej broni, mogą przebić wał, z drugiej zaś strony obawa spotkania się z kulami, które zbaczają, a nadewszystko honorowa drażliwość, nie pozwalały mi uciekać...

W tej chwili nieledwie wyrzucałem sobie bohaterski zamiar. Zdawało mi się, że już widzę swoje zwłoki poszarpane kulami, oblane krwią i że słyszę rozpaczliwy jęk cioci Femci, która przy moim trupie umiera!...

Przypomniałem sobie, że nie mam prawa narażać się w taki sposób, i że literatura ojczysta oczekuje odemnie innych ofiar...

Na myśl o obowiązkach względem literatury, począłem wołać, już nie pamiętam co. Ale wnet spostrzegłem, że głos mój niknie wśród wrzasku sygnałów.

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość. Przytuliłem się do ziemi i przysiągłem, że raz na zawsze zerwę z niewdzięczną epopeją, a wezmę się do liryki, jeżeli uniosę życie.

Wszelako wołania moje nie były daremne. Usłyszała je jakaś kobiecina, pasąca nieopodal krowy i przybiegła, myśląc żem zemdlał. Rozbudzony z głębokiego zamyślenia, dowiedziałem się od niej, że dziś do celu strzelać nie będą i że na polu odbywa się zwykła musztra piechoty.

Wtedy (o dziwny kaprysie poetyckiej fantazji!) ledwiem wyszedł z za wału, począłem żałować, że nie strzelano i że ominęły mnie bogate wzruszenia! Swoją drogą, wierny przysiędze, wyrzekłem się epopei, i ażeby nie złamać słowa, unikam od tej pory, nietylko placów, na których strzelają do celu, ale nawet—widoku broni palnej.

W taki sposób przerzuciłem się do liryki. Śmierć, pożary, walka nie istnieją dla mnie. Natomiast z podwojonym zapałem szukam pięknej natury i czystej miłości.

W tej epoce, los który uwziął się na to, ażeby moje natchnienia zagłuszyć materjalnemi kłopotami, los, mówię, zesłał na nas całe pasmo udręczeń. Byłem pełnoletni, duch mój rozwinął się, lecz jednocześnie, z oddziedziczonego po rodzicach majątku, zostało mi ledwie parę tysięcy...

Ludzie, którzy mają zwyczaj odwracać się od niepowodzeń, zerwali z nami stosunki. Dla upozorowania zaś nieprzyzwoitego postępku zaczęli obsypywać mnie zarzutami. Mówili, że to wstyd, ażeby człowiek w moim wieku nic nie robił. Twierdzili, że strwoniłem majątek na dogadzanie chorobliwym zachciankom, które często popychały mnie do czynów nieprzystojnych. Gniewali się na mój tryb życia, w istocie nieco ekscentryczny i przepowiadali, że marnie zginę.

Złośliwość ich nie oszczędzała także cioci Femci, na którą składano odpowiedzialność za moje jakoby złe wychowanie. Nawet odsunął się od nas mój drugi opiekun, ten lepszy, wypowiedziawszy mi pierwej długie kazanie.

— Mój Juleczku — mówił — ustatkujże się choć teraz, kiedyś został pełnoletnim i nie masz majątku. Zarzuć niedorzeczną poezję, która zjednała ci opinję dziwaka, nie pozuj na genjusz, wykąp się, każ sobie ostrzydz włosy, i weź się do roboty.

Jeżeli zechcesz — dodał — mogę wyrobić ci miejsce u adwokata. Nie dojdziesz tam do wielkich rzeczy, ale, przy pracy, będziesz miał chleb.

Ciocia Femcia ze skruchą przysłuchiwała się nudnym morałom, a w końcu poczęła mnie prosić ze łzami, ażebym »wszedł w siebie!«

— Mój Julciu — biadała — już i ja widzę, że świat nie pozwoli ci zostać poetą, choćbyś nawet miał zdolności. Spełniłam wiernie wolę twojej matki, nie stawiałam ci w niczem przeszkód, robiłeś co ci na myśl przyszło i nie zrobiłeś nic. Spróbuj-że choć teraz wejść na drogę ludzi zwyczajnych i weź się do pracy, bo...

Wzruszenie przerwało jej mowę.

— Widzisz — zaczęła na nowo — mamy tak mało pieniędzy, że przy oszczędności ledwie nam wystarczy na rok. Ja biorę bieliznę do szycia i na siebie zapracuję. Ale co ty poczniesz?...

Żal mi się zrobiło poczciwej ciotki. Pocałowałem ją w rękę i prosiłem — jeszcze o pół roku cierpliwości.

— Jeżeli w ciągu tego czasu — rzekłem — nie napiszę nic takiego coby mi zrobiło sławę i zapewniło dochody, zostanę...

Nie mogłem dokończyć.

Moja wiara w siebie tym razem zaniepokoiła ciocię.

— Czy myślisz dalej pisać *Nerona?* — spytała. — Mój Julciu, ja słyszałam, że on jest bardzo — nieprzyzwoity...

— Nie myślę o *Neronie* — odparłem. — Wezmę się do liryki, ale do tego potrzeba...

— Pewnie tyle pieniędzy co i na epopeję? — wtrąciła ciotka.

— Nie. Potrzeba tylko, ażebym — kochał i był kochanym!

Ciotka przeżegnała się.

— Moje dziecko — rzekła — miłość napędza dużo kłopotów, wkłada obowiązki, zabiera czas...

— Co też ciocia mówi! — zawołałem. — I któryż wielki poeta nie kochał się? Bajron, Gete, Szyler, Mickiewicz, Słowacki!... Każdy z nich miał jakiś ideał, a im więcej z tego powodu cierpiał, tem piękniejsze tworzył poematy.

Ciotka zamyśliła się.

— Ha! ja ci na to nie poradzę — rzekła. — Rób jak chcesz, ale pamiętaj żeś już wiele popełnił błędów...

* * *

Ta rozmowa zamknęła pierwszą epokę mojej poetyckiej działalności.

Od tej pory nie szukałem silnych wrażeń, mniej wychodziłem z domu, ale po całych dniach marzyłem o miłości idealnej.

Mój Boże! ile znałem panien, które, jeszcze przed dwoma laty, patrzyły na mnie z podziwem i byłyby mi niezawodnie oddały serca. Ale wówczas zajmował mnie pierwszy rozdział *Nerona!...*

Mieszkaliśmy w dwu pokoikach na trzeciem piętrze. Nie bywaliśmy u nikogo i nikt u nas, z wyjątkiem pewnej guwernantki, brzydkiej, starej panny Łucji, która była naszą sąsiadką i z entuzjazmem mówiła do ciotki o moim genjuszu.

Należała się odemnie wdzięczność tej damie, co nie szczędziła mi oznak uwielbienia. Ale kiedym spojrzał na jej twarz koloru mięsa, powieki bez rzęs i lniane włosy, zapominałem o wdzięczności, nienawidziłem wszystkie guwernantki, a nawet — wątpiłem o moim talencie.

W obec podobnych wielbicielek lepiej być dependentem, niż poetą.

Tymczasem nadeszła zima. Sprzedawszy futro, chodziłem w jesiennym paltocie, co w wysokim stopniu niepokoiło ciotkę.

— Cóż Julciu? — zapytała raz, patrząc na mnie z wyrazem smutku. — Czy nie pora prosić opiekuna, ażeby wyrobił ci *tamto* miejsce?...

— Kochana cociu — odpowiedziałem — proszę o cierpliwość tylko na kwartał!

A potem szepnąłem sam do siebie:

— Gdyby błyskawica miłości oświeciła pomysły, które śpią w mojej duszy, byłbym ocalony...

Nigdy jeszcze kobiety nie wydawały mi się tak podobnemi do aniołów, jak wówczas!

Nadszedł karnawał. Do fatalnego terminu brakowało dwa miesiące. Strapiony — chodziłem po małych pokoikach, zapytując się niekiedy: czy ja na prawdę mam talent — i — czy dotychczasowe życie nie było pasmem złudzeń i dziwactw?...

W tych wędrówkach między czterema ścianami, trafiały mi się chwile upadku, podczas których nieledwie — wstydziłem się przeszłości!...

Zdawało mi się, że mój pomysł do poematu *Nerona* jest zbiorem dziwactw, że podróż za granicę była niedorzeczną, że wyprawy do pożarów i na pole musztry zasługują na nazwę skandalu, a pierwsza pieśń z *Nerona* pod tytułem: *Orgija*, jest dowodem szkaradnego wyuzdania.

Zwątpienie dręczyło mnie jak — Prometeusza sęp legendowy.

Jednego dnia listonosz przyniósł list zaadresowany do mnie. Spojrzałem. Koperta niebieska, z grubego papieru, na niej obraz muszki wymalowany z łudzącą dokładnością. Pismo kobiece, piękne...

Gdy otworzyłem kopertę, owionął mnie delikatny zapach perfum. Ale jakich? nie mogłem sobie przypomnieć.

W liście znalazłem tylko kilka wierszy. »Poeto! — mówiła nieznana korespondentka. — Jeżeli chcesz poznać osobę, która odgadła twoją duszę, bądź w niedzielę na maskaradzie, pod orkiestrą«.

»Sfinks«.

Zbladłem tak, że ciotka spostrzegła moje wzruszenie...

— Co tobie? — pytała przestraszona.

— Nic! — odpowiedziałem z uśmiechem i schowałem list do kieszeni.

— Co to za list, pokaż mi go — mówiła, wyciągając rękę.

— Kiedy indziej — odparłem i, dla uniknięcia dalszych pytań, wybiegłem z domu.

Dziś jest piątek. Więc za kilkadziesiąt godzin poznam tajemniczą przyjaciółkę!... — szeptałem idąc przez ulicę.

List palił mnie. Wstąpiłem do najbliższej sieni i odczytałem go kilka razy.

— Jakie cudowne pismo!... Jaka szlachetność wyrażeń!... Jaka woń!... Zkąd ona mnie zna?...

Przyszła mi na myśl awantura z powodu głośnego czytania pierwszej pieśni *Nerona.*

— A może to córka naszego ówczesnego sąsiada, która podsłuchiwała mój poemat?... Pewnie starsza, wcale ładna... Nie! — siedmnastoletnie panny nie mają tak pewnej ręki i nie wyrażają się tak śmiało, a zarazem szlachetnie. »Poeto! — odgadłam twoją duszę«... Co za wzniosłość... Tak, to musi być osoba już dojrzała.

Niebo otworzyło się nademną. Drzemiące zdolności ocknęły się i zagrały jak chór serafinów. Czułem, że pokocham tę kobietę, tak wyższą od swego otoczenia. Czułem, że napiszę poemat utkany nie ze krwi i ognia, ale z uniesień i zachwytów.

O moja Lauro!... o Beatrycze!...

Gdyby kto znał stan mej duszy, przekonałby się, w jak cudowny sposób, miłość uzacnia, podnosi, uświęca człowieka. O jakżem się wstydził poematu *Nero!* W jakiem świetle widziałem awanturniczą przyszłość!

Najdotkliwszym ciosem było dla mnie to nieszczęście, że niedawno pozbawiłem się nowego fraka i czarnych kaszmirowych spodni. Musiałem na maskaradę wynająć garnitur, który źle pasował. Gdym się zaś obliczył z pieniędzmi, okazało się, że po kupieniu biletu wejścia na salę redutową zostanie mi najwyżej ośm złotych.

— Co będzie, jeżeli *mój* sfinks, dla okazania mi sympatji, zechce zjeść kolację? Przecie nie zaprowadzę jej do Brajbisza!

Nigdy tak boleśnie nie czułem straty majątku. I na co go straciłem?... Na poemat, który dziś oddałbym za bukiet świeżych kwiatów.

Warto było dla śmiesznej epopei poświęcić wszystko i nie mieć nawet kilkunastu rubli dla tak pięknej liryki!

(Dokończenie nastąpi.)

Tajemnicza historja

SZKIC JANA SCHERRA.

»I prawda nieraz podejrzaną bywa.«
Alarcon.

I.

Temple.

Paryż jest dzisiaj niezaprzeczenie jednem z najpiękniejszych miast na kuli ziemskiej. Francuzów nie mało kosztowała jednak przemiana starego i brudnego miasta na nową i pyszną stolicę: poczynając od 1852 do 1865 r. państwo wydało przeszło miliard franków na upiększenie, assenizację i powiększenie nowego Babilonu. Piękna Francja występuje zawsze w roli Krezusa, ilekroć chodzi o dogodzenie damie narodowej. Zbytek, w jakim wieczna ta kokietka

przystraja swój salon, ma w sobie coś wzniosłego. Zazdrość, skąpstwo i sknerstwo starych Niemców nie byłoby zapewne zdolnem do poniesienia tylu ofiar dla upiększenia swej stolicy, gdyby takowa została kiedykolwiek przez nich jednomyślnie uznaną.

Dawniejsza Lutecja jest dzisiaj cudnym brylantem w szeregu miast. Ileż zmian zaszło na tej wszechświatowej, historycznej scenie w ciągu ostatnich lat stu, pięćdziesięciu, dwudziestu, a nawet pięciu! Gdyby był wstanie zmartwychwstać jaki mieszkaniec Paryża z czasów Ludwika XIV, lub Henryka IV, albo wreszcie z czernastego i piętnastego wieku, Sekwana jedynie przypomniećby mu mogła dawniejszy Paryż. Bo też czegoż nie przeżyło miasto to od czasu, gdy z rezydencji Juljana Odstępcy zamieniło się w rezydencję Napoleona III. Spacer do Paryża — to podróż po historji Francji, albo raczej wędrówka po całej najnowszej historji Europy, gdyż trudno zaprzeczyć, że od 1789 do 1870 r. było w Paryżu serce ludzkości całej. Urządzonym był tam zegar, według którego regulowały się wydarzenia dziejowe, dla tego też wrogowie Francji, którzy w manifeście księcia Brunświckiego żądali, aby zgładzono Paryż z oblicza ziemi, nie byli tyle ograniczeni, jakby się to na pozór wydawać mogło. Nienawiść instynktowna i strach podpowiadały im, że wolność znowu tam rozpostarła swe skrzydła i cisnęła w świat płomień swój rewolucyjny. Na wszystko czas przychodzi; był czas na średniowieczny zapał religijny, który ogarniał tysiące całe ludzi, dążących na zawojowanie „grobu świętego“, do odległej Palestyny, gdzie po większej części, czekały ich śmierć i zagłada. Pozostali w ojczyźnie zrzekali się swych majątków na korzyść walczących o grób święty*), w skutek czego uorganizował się w Palestynie zakon rycerski, który później zasłynął wielką zamożnością i cieszył się ogólnym szacunkiem. Oprócz Joanitów i zakonu Teutońskiego, szczególną sławę zyskali tam Templarjusze (templarii, fratres commilitones templi), którzy nazwę swą otrzymali od tego, że zamieszkali w pałacu, graniczącym z miejscem, na którem stała dawniej świątynia Salomona.

Założony w 1118 r. zakon templarjuszów, po upływie lat 18 stał się bogatą i potężną korporacją, zaś na początku trzynastego stulecia liczył nietylko na Wschodzie, ale i w państwach europejskich do 9.000 różnych namiestnictw. Najpiękniejszą i najświetniejszą jednak epoką w dziejach templarjuszów była ta, gdy zamieszkiwali „Temple“ w Paryżu, albo raczej koło Paryża.

Od placu Zgody, zginając się w olbrzymie łuki, ciągnie się do samego placu Bastylji rząd cały wspaniałych ulic, znanych pod nazwą bulwarów. Około bramy *Saint Martin* łuk ten wspaniały zgina się na południo-wschód w kierunku placu Bastylji, a zwłaszcza tak zwanego *bulwaru Temple*. Tutajto znajdowało się, podczas pierwszej rewolucji, nie istniejące już dzisiaj, t. j. zupełnie przebudowane więzienie rządowe, którego głównym gmachem był olbrzymi, w średniowiecznym zbudowany stylu, zamek zakonu *Temple*. Zamek ten rozmiarami, trwałością i zbytkiem, przewyższał ówczesne zamki królów francuskich. Zbudowanym on został za czasów panowania Ludwika VII, który darował templarjuszom błotnisty obszar ziemi, leżący po za murem miejskim. Na błocie tem z niesłychaną szybkością, powstał staraniem zakonu zamek *Temple*, który zajmował wówczas wraz z swemi murami, strzelnicami, rowami i wieżycami znaczną przestrzeń ziemi. Zamek ten był rezydencją wielkiego mistrza zakonu i w nim zbierali się templarjusze, przybyli z różnych stron świata. Główny gmach fortecy, olbrzymia czworokątna wieża, ukończoną została w 1306 roku za wielkiego mistrza, Jana de Turque.

Zaledwie wieża zbudowaną została, wnet bezpieczne znalazł w niej schronienie Filip Piękny, przeciwko któremu, za nadmierne podatki, z bronią w ręku powstali mieszkańcy Paryża. Templarjusze obronili go i, za pomocą swych wpływów, zdołali pogodzić z niezadowolonymi z niego Paryżanami. Król, ze swej strony, odwdzięczył się im za to, gdyż nie zaniechał zamierzonego w porozumieniu z papieżem Klemensem V zamachu, mającego na celu obalenie zakonu. Głównym promotorem zamachu tego był papież, gdyż Filip Piękny używając całej energji swej na zjednoczenie Francji, pojmował prawdopodobnie, że obalenie zakonu mogłoby jedynie zaszkodzić jego sprawie. Klemens V jednak, powodowany chęcią zysku, a po części i wrodzoną tchórzliwością, starał się namówić go do tego czynu i ofiarował mu swą pomoc w celu obalenia zakonu. Trudno było wymagać sprawiedliwości od papieża, którego rozwiązłe życie w Avignon, Poitier i Bordeaux, nawet w owe niemoralne czasy oburzało każdego, od papieża, który, według słów jednego z najbardziej wykształconych biskupów ówczesnych, Apoloniusza florenckiego, żył otwarcie ze swą „przyjaciółką“, powabną Brounisard, córką hrabiego Foi i żoną hrabiego Taillerand-Perigord, i nie zawahał się nawet podarować jej brylantów ze swej papieskiej korony.

W dniu 12. października 1307 roku znajdował się Filip Piękny wraz z całym swym dworem w Temple, w gościnie u wielkiego mistrza, Jakóba Molay, którego, na żądanie króla, papież podstępnie sprowadził z wyspy Cypru do Francji, ażeby zgubić go wraz z całym zakonem.

Zamach miał dojść do skutku nazajutrz rano. Za pretekst czynu posłużyły, jak wiadomo, „występki“ zakonu; obwiniano go o zbytkowny, nieumiarkowany sposób życia, o żądzę bogactw, ateizm i rozpustę; o ile jednak uzasadnionemi były zarzuty, wymierzone przeciwko zakonowi przez królewskich i papieskich sędziów, rozstrzygnąć trudno.

Stu czterdziestu templarjuszów zebrało się u wielkiego mistrza, przyjmującego króla w gościnie; uczta odbywała się w wieży, gdzie były komnaty odświętne. Filip Piękny był w niezwykle wesołem usposobieniu, a podczas tego, kiedy ucztował z Jakóbem Molay i innymi templarjuszami, władzom sądowym Francji wydaną została instrukcja, nakazująca im aresztować w dniu 13. października wszystkich templarjuszów, bawiących na ziemi francuskiej i zabrać na rzecz rządu cały ruchomy i nieruchomy majątek zakonu.

Fakt, który miał miejsce z 12. na 13. października 1307 r., należy do najbardziej ohydnych faktów, zapisanych kiedykolwiek na kartach historji; w dniu tym za gościnność templarjuszów odpłacił król najpotworniejszą niewdzięcznością, zaskoczywszy ich niespodzianie. Następnie rozpoczął się haniebny, przeciwny prawu sąd, który nawet ze względu na owe zabobonne, rozwiązłe i barbarzyńskie czasy usprawiedliwić się nie da. Najgłówniejszą rolę, zamiast jakiegokolwiek śledztwa, odegrały w nim tortury. W jaki sposób zastosowywano je, pouczyć nas może przykład następujący: jeden z wziętych na tortury templarjuszów, któremu straszliwe męki pomięszały niemal zmysły, przyznał się do tego, że przybijał Zbawiciela do krzyża. Fakt ten przypomina wypadek, że siedmioletnie i dziewięcioletnie dziewczynki, oskarżone o czary, wzięte na tortury przyznały się, iż pozostawały w stosunkach z djabłem. Templarjuszów, którzy przenieść zdołali męki i tortury, skazywano całemi masami na karę śmierci. W samym Paryżu spalono 113 ludzi, zaś 12. maja 1310 roku, spalono na wolnym ogniu 54 templarjuszów, przywiązanych pod pręgierzami około wrót świętego Antoniego. Wszyscy ci męczennicy, pomimo mąk straszliwych, do śmierci samej wypierali się jakiejkolwiek winy. Jakób Molay zaprotestował uroczyście przeciwko wyrokowi sądu, za co Filip Piękny rozkazał spalić go (11. marca 1313 r.) na wolnym ogniu, na jednej z wysepek Sekwany, gdzie później zbudowaną została stolica Henryka IV. Protest, wypowiedziany przezeń przed śmiercią, jest faktem historycznym. Legenda jednak, starająca się upoetyzować każdy fakt historyczny, powiada, że nieszczęśliwy Molay, umierając śmiercią męczeńską, wzywał głośno na sąd boży papieża i króla. Klemens V umarł, jak wiadomo, 20. kwietnia 1314 r., zaś Filip IV podążył za nim 20. listopada tegoż roku.

„Za zbrodnie ojców waszych dotknę dzieci i dzieci dzieci waszych aż do siódmego pokolenia“. Aczkolwiek straszném, okrutnem i pozbawionem litości było to starożytne wyrzeczenie, sprawdza się ono jednak nieraz na kartach historji losów ludzkości, gdyż nieubłagany odwet bywa prawnym sędzią wszechświatowych historycznych błędów i przestępstw. Zjawia się on, co prawda, nieraz zbyt późno, bywa jednak nieuniknionym, a wyrok jego jest zazwyczaj nieubłaganym i sprawiedliwym, jak sprawiedliwym jest sąd prawodawcy, sądzącego przestępstwa. Gdyby w dniu 12. października 1307 r. przed oczyma Filipa Pięknego, ucztującego w Temple z templarjuszami, uchyloną została chociaż na chwilę zasłona przyszłości, i on byłby w stanie ujrzeć dzień 13. sierpnia 1792 r., nie wątpilby zapewne w potęgę i prawdziwość historycznego odwetu. Byłto nie wypadek, ale logiczny wynik historji, iż wieża Temple, gdzie spełnionem zostało jedno z przestępstw francuskiej monarchji, w owym dniu sierpniowym stało się więzieniem dla króla francuskiego.

Wieża Temple, która była świadkiem straszliwej agonji Ludwika XVI i jego rodziny, znikła z powierzchni ziemi; nie zniknie ona jednak nigdy z historji powszechnej; ponura i groźna, wznosi się ona tam na wieki wieków i służy za przestrogę dla przyszłych pokoleń.

W dniu 21. stycznia 1793 r. spełniono wyrok śmierci na Ludwiku XVI, 1. sierpnia przewieziono Marję Antoninę z Temple do Conciergerie, zkąd w dniu 16. października fatalny wóz powiózł ją na rusztowanie. W d. 10. maja 1794 r. tenże wóz stał u wrót Temple, oczekując na jedną z najbardziej godnych i szlachetnych ofiar teroryzmu, księżnę Elżbietę, ażeby

*) Król Aragonji i Nawarry, Alfons I, zapisał państwo swe w spadku zakonom rycerskim.

zawieść ją pod gilotynę. W dniu 8. czerwca 1795 roku umarł w wieży Temple biedny, fizycznie i umysłowo upośledzony, prawie niemy chłopczyk Ludwik-Karol, zrodzony dnia 27. marca 1785 r. z króla i Marji Antoniny w Wersalu, nazwany pierwotnie księciem Normandzkim, później zaś, po śmierci starszego brata, ogłoszony delfinem Francji.

Czy jednak chłopczyk, który umarł w dniu 8. czerwca 1795 roku, był w rzeczy samej delfinem?

Wątpliwa ta kwestja powstała wkrótce po śmierci dziecka, i dotychczas na zapytanie to nie zdołano dać zadawalniającej odpowiedzi, któraby wszelką wątpliwość rozwiać była w stanie. W samej rzeczy, widzimy przed sobą nieodgadnioną zagadkę, która ciągle jeszcze domaga się rozwiązania. Szkic niniejszy zawiera bezstronne zestawienie i ocenę faktów, które zebrała po dziś dzień krytyka historyczna dla rozświetlenia niejasnej sprawy.

II.

Tajemnica.

Przedewszystkiem zaznajamiamy się z tym aktem, że wszyscy oszukani lub oszuści, albo też oszukani oszuści, którzy jeden po drugim występowali na widowni historycznej pod imieniem delfina Ludwika Karola, czyli Ludwika XVII, jako to: Gervago, Brusian, Naundorf Richmont, i Williams, zyskali stronników, i to nieraz wewnętrznie przekonanych i zapalonych stronników. Fakt ten wyjaśnia się tem, że w roku 1795 rozeszła się wieść, nosząca cechę prawdopodobieństwa, iż zmarły w Temple delfin — był dzieckiem zamienionem, rzeczywisty zaś i prawdziwy żyje i uszedł z więzienia. Wypada przypuścić, że wieść ta była opinją publiczną, za pomocą której niczego, rozumie się, dowieść nie można.

Nie brak nam jednak i tego punktu oparcia, który dowodzi, że w kole ludzi wtajemniczonych nawet, nie wszyscy pewni byli śmierci delfina. Labrelle de Fontain, były bibljotekarz sądowy ks. orleańskiego Filipa-*Egalité,* dowodzi w pewnem dziele, że monarchowie zjednoczeni w 1814 r. do tego stopnia wątpili o śmierci Ludwika XVII, że aczkolwiek uznali za króla Ludwika XVIII, w tajemnicy jednak zobowiązali się w ciągu dwóch lat pozostawić tron Francji dla, jakoby żyjącego jeszcze, syna Ludwika XVI. Znaczna część monarchistów, którzy po upadku rzeczypospolitej 9 termidora 1794 r. starali się o wprowadzenie na tron Burbonów, nie wierzyła również w śmierć delfina. Na korzyść tego przemawia świadectwo, które pojawiło się w 1851 r. z okoliczności procesu, rozpoczętego przez spadkobierców Naundorf w sądzie francuskim. Świadectwo to wydanem było przez byłego sekretarza Ludwika XVI, Bremona, który w roku 1795 słyszał od starosty kantonu Bern, Sztejgera, na podstawie najbardziej wiarogodnych źródeł, iż delfin żyje i zdołał zbiedz z więzienia w Temple. Sztejger znajdował się, jak wiadomo, w blizkich stosunkach z znakomitymi emigrantami i generałami wandejskimi.

Wieść głosi, iż uprowadzenie delfina z więzienia w Temple dokonane było na prośbę Józefiny Beauharnais, przez ówczesnego jej kochanka Barrola. Na osoby te, jako głównych sprawców uprowadzenia delfina, jak również na George'a, Pichegru, Frotte i kreola Loransa, którzy współdziałali w tej sprawie, wskazywał, zegarmistrz Naundorf, dowodzący, że za syna Ludwika XVI uznała go formalnie i uroczyście pani Rambeau, była niańka delfina przed jego uwięzieniem w Temple. Cała zresztą historja wykradzenia, opowiedziana przez Naundorfa, przedstawia taką gmatwaninę przypadków, nieprawdopodobieństw i wydarzeń niemożliwych, że zaliczyć ją można słusznie do tworów fantazji jakiego poety. Istnieją jednak i inne warjanty tej historji. Jeden z nich, rozgłoszony przez ludzi, którzy jakoby poznali delfina, zawiera się w następującej opowieści: „W dniu 19. stycznia 1794 r. książę, z wiedzą i przy pomocy podkupionego stróża więziennego Simona, wykradziony został z Temple przez Frottego i Aujardin'a, emisarjuszów księcia Condé, którzy na jego miejsce przyprowadzili niemego chłopca, w temże będącego wieku. Wykradziony delfin odesłany został do Wandei, zkąd, po oficjalnem skonstatowaniu jego śmierci, dostał się do armii księcia Condé, który w roku 1796 polecił go generałowi Kleber, ten zaś podał go za krewnego swego i zrobił swym adjutantem". Uważamy za bezpożyteczne zajmować się dłużej tym mythem.

Dla dopełnienia jednak opowiadania o dniu 19. stycznia 1794 r., zmuszeni jesteśmy przytoczyć następujący fakt historyczny: Tegoż dnia szewc Simon, który urząd swój stróża więzienia zamienił na urząd członka magistratu, opuścił Temple wraz z żoną i całym dobytkiem. Dalej istnieje zeznanie, nieobalone nawet w procesie 1851 roku, iż wdowa Simon, Marja Joanna Aladame, zmarła w dniu 10. czerwca 1819 r. w szpitalu przy ulicy Sevres, opowiadała szczegółowo zakonnicom, opiekującym się nią w czasie choroby, iż Delfin nie umarł w Temple, lecz został uprowadzonym ztamtąd, przy współudziale jej i męża, i to właśnie w dniu, kiedy wynieśli się z więzienia, t. j. 19. stycznia 1794 r. Uprowadzenie to dokonanem zostało w następujący sposób: Razem z innemi zabawkami obstalowano dla księcia konia z kartonu, we wnętrzu którego posadzono niemego chłopczyka; przyniesiono go do Temple i zostawiono na miejscu Delfina, tego zaś ostatniego ukryto w koszu z podwójnem dnem; kosz pomieszczono na wozie razem z rzeczami Simona, wyjeżdżającego z Temple, i przykryto brudną bielizną. Warta, stojąca u bramy, zaczęła rewidować wóz i nawet chciano przejrzeć tłumok z bielizną, żona Simona zdołała jednak uniknąć niebezpieczeństwa, zaczęła bowiem szydzić z żołnierzy, że przeglądają brudną jej bieliznę. Tym sposobem udało się szczęśliwie wywieść kosz z Temple.

Do uprowadzenia księcia, według słów wdowy Simon, przyczynili się nie mało ówcześni ludzie wpływowi. Udział w tej sprawie przyjmować miał i sam Cambaceres. Hrabia de Lode przynajmniej, który znał dobrze wiele zakulisowych tajemnic rewolucji, w swej „Histoire secrète du Directoire" powiada co następuje: „Ogół oszukano, jak się zdaje, co do czasu i miejsca śmierci Ludwika XVII; Cambaceres przypuszczał to również, nigdy nie chciał jednak powiedzieć, co wiedział o tej sprawie". W roku 1799 hrabina d'Audemare, była dama dworu królowej Marji Antoniny, w „Pamiętnikach" swych, pisała o delfinie co następuje: „Nieszczęśliwe dziecko, którego panowanie rozpoczęło się i skończyło w więzieniu, umarło jednak nie w temże więzieniu. Nie chcę powiększać liczby domysłów, z których skorzystać mogą oszuści, świadczę się jednak sumieniem, że Ludwik XVII umarł nie w więzieniu Temple. Nie jestem wstanie powiedzieć na pewno dokąd wyprawiono księcia i co się z nim stało. Jeden Cambaceres mógłby wyjaśnić tę sprawę, gdyż wie o tem więcej odemnie." Otóż leży przed nami formalne i uroczyste świadectwo. Szkoda jednak, że i temu postawić można pewne zarzuty. „Pamiętniki" hrabiny zawierają po większej części nie jej myśli, lecz myśli barona Lamotte- Langona, na którym ciąży nader uzasadnione podejrzenie, że często prawdę mięszał z fałszem, tak iż trudno dociec, gdzie się kończy pierwsza, i gdzie się zaczyna ten ostatni. W każdym razie wypada zauważyć, że Lamotte-Langon był jednym z blizkich przyjaciół Cambaceresa, dla tego też mógł znać dużo, jeżeli nie wszystkie szczegóły uprowadzenia delfina. Domysł, iż Cambaceres w samej rzeczy przyjmował udział w tej sprawie, stwierdza się po części tą okolicznością, iż Burboni po pierwszym (1814), a nawet drugim (1715) powrocie byli dla człowieka tego niezwykle, zadziwiająco nawet względni, po śmierci zaś jego kazali spiesznie opieczętować wszystkie jego papiery i zabronili je publikować. Obawiali się oni prawdopodobnie usłyszeć z ust żywego i z papierów umarłego wyjaśnienia tajemnicy więzienia Temple i co do nas, jesteśmy tego przekonania, iż w interesie Ludwika XVIII, Karola X i Ludwika Filipa leżało pozostawić wspomnianą tajemnicę niewyjaśnioną i usunąć wszelkie podejrzenia co do mniemanej śmierci delfina.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZY KOMINKU

Kto wiosną zrywał kwiat za kwiatem,
Z burzami mężnie walczył latem,
Ten, wierzcie, żył niezgorzej;
Nie żal mu marzeń i uniesień,
Wesoło wita chmurną jesień,
I zimą się nie trwoży.

Choć włos już srebrzeć mu zaczyna,
W wieczór zimowy u komina
Rad w gronie siąść młodzieży —
I nieraz wzrok mu się zapali,
Gdy dni wiosennych urok chwali,
Choć w powrót ich nie wierzy.

«Młodzieńcze — prawi — z życia czary
Nie zwlekaj szczęścia pić nektary
I młodym bądź za młodu,
I wychyl czarę do wieczora —
Na starość bowiem już nie pora
Usychać z «wrażeń głodu».

Bo ten, co żalu łzą w skrytości
Nie oblał szaleństw swej młodości,
Żył gnuśnem życiem płazu —
Niestety! (mówiąc między nami)
Roztropnym wprawdzie był czasami,
Lecz mądrym — ani razu...

Ceń życie! — raz się tylko żyje.
Wstecz go nie cofną łzy niczyje,
A chwilkę będzie trwało.
Chcesz w tej chwileczce wieki przeżyć?
Kochaj!... W miłości — chciej mi wierzyć —
Zawiele, to za mało!

Niech pierś rozsadza serca bicie,
Rozsądek, szczęście, przyszłość, życie
Na jedną stawiaj kartę...
Miłość — to zachwyt, to sny wieszcze!...
Ze wsystkich złudzeń to, co jeszcze
Najwięcej może warte.

W żywota twego pasmo szare
Kochanki rączka w chwilek parę
Nić złotą szczęścia wprzędzie —
Tylko, gdy będziesz w siódmem niebie,
Nie pytaj wtedy jej i siebie,
Jak długo kochać będzie?

Młodzieńcze, nie gardź braćmi swemi!
Aniołów nie ma tu na ziemi,
W granicach ciasnych świata,
Niedola wspólna nas uciska.
Ty nie przypatruj się nam zbliska,
A w każdym ujrzysz brata.

Młodzieńcze, życie jest zagadką!
Młodzieńcze, powiedz, jak dziś rzadko
Ty temu chcesz dać wiarę?
Och! rozwiązania nie głoś słowa,
Bo któż wie, czyli prawda nowa
Jest lepszą od prastarej?

Proroków zastęp wciąż się szerzy,
Lecz mało który dziś w to wierzy,
W co wierzył jeszcze wczora.
Młodzieńcze, uzbrój się... wątpieniem,
I pomnij: mędrców jest znamieniem
Nie pycha — lecz pokora.

Nie ufaj szczęściu! — a z niedoli
Nie czekaj aż cię cud wyzwoli,
Lecz podwój własne siły.
Przeciwność wszelką, bracia młodzi,
Cierpliwość zwalczy, czas złagodzi,
A przerwie — sen mogiły!»

Czesław.

Kronika Tygodniowa.

Znowu dwa sensacyjne procesa przed sądami karnemi, parę ankiet, jeden deszcz, dwie liche sztuki w teatrze i mnóstwo aż nadto szczegółowych wiadomości o napadach na żydów w Rosji — oto główne punkta rozmów i zajęć publicznych w ubiegłym tygodniu. Sprawa młodzieńca Boczonia i skromnej jego siostry — ich oburzenie na niesprawiedliwość sędziów, którzy nie mogąc tolerować prostej kradzieży, uznali ich winnymi, z przerażającą prawdą odkrywa korupcję tego rodzaju zwolenników używania jakimbądź kosztem. Gdyby to był objaw oderwany i jedyny w swoim rodzaju, wypadłoby zdziwić się nad nim i ulitować nad zboczeniem umysłowem takich indywiduów, lecz niestety podobnego temperamentu usposobienie wisi prawie w powietrzu grożąc epidemją. Chęć użycia i to wyrafinowanego, bezwzględnego użycia, jest tak widoczną, tak rażąco objawiającą się w smaku, w rozmowach, pragnieniach i projektach a nawet w czynach — że krok dalej na tej drodze, a musi się stracić równowagę — i stoczyć ku zasadom tyle strasznego wskutkach materjalizmu. — Weźmy naprzykład objaw gustu publicznego w przedstawieniach teatralnych. Wszystko co poważne, dające do myślenia, co nastraja umysł do uczuć szlachetniejszych — nudzi — odstręcza. Każden chce tylko zabawy i to zabawy należycie osolonej i opieprzonej, dającej zajęcie umysłowi tylko na chwilę. Pustką też świeci teatr, dla uniknienia której musi dyrekcja wprowadzać farsy i operetki na nowo, musi dać się unosić prądowi, który z pewnością nie zatrzyma się już na falach, w pół drogi.— Są to objawy i opinje tak widoczne i tak zasmucające, że nas trochę starszych zaczyna to przerażać i napawać obawą co do lepszej przyszłości.

Ale wróćmy do Lwowa. Drugi proces przeciw dawnej dyrekcji fabryki Czerlańskiej, ograniczony do lekkomyślnej krydy i mający znaczenie dziś wiosennego ciepłego deszczyku po burzy, gdy ta burza minęła i gdy zużytkowano pioruny jak było potrzeba i przeciw komu było potrzeba, skończył się zupełnem uniewinnieniem oskarżonych. Gruntownie i z całą ścisłością prawną umotywowany wyrok sądu zdaje się, ze zamknie na długo tę nieszczęśliwą sprawę, odzywającą się echem gorączki szwindlu z przed 1873 roku.

Więc znowu w tym roku będziemy mieli na jesień targ międzynarodowy na zboże, połączony z wystawą chmielu i bydła Odnośny komitet już rozpoczął swoje czynności, wyznaczywszy termin na 19 i 20 września. Radzi jesteśmy, że targi te jeszcze się nieuprzykrzyły, i że są u nas ludzie, którzy raz coś rozpocząwszy, idą dalej po obranej drodze. Jedna rzecz tylko zastanawia, to to nieustanne uciekanie się pod skrzydła Wydziału krajowego, gdy idzie o fundusze, a potem straszny lament w sejmie, że autonomja tyle kosztuje. Wydział krajowy rozporządzający funduszami całego kraju, nie może popierać interesów, mających na celu dogodności klas pewnych. Czyż producenci zboża w Galicji, którzy bezpośrednio z tego rodzaju targów korzyści odnoszą, nie są wstanie pokryć drobnych kosztów targu lub wystawy, czy to przez dobrowolną składkę, czy też w formie opłaty przez uczestników? — Podobne oglądanie się w najmniejszej rzeczy na kraj, przyznajemy, ubliża trochę samodzielności i niezależności obywatelskiej. A takich czułych spojrzeń ku Wydziałowi krajowemu, naliczylibyśmy mnóstwo; dość wspomnieć o melioracjach, z których korzystają dotąd najzamożniejsi, to jest tacy, którzyby potrafili sobie radzić bez pomocy kraju... Nieustanne oglądanie się na pomoc, ma wreszcie i tę złą stronę, że tamuje prywatną inicjatywę i odwagę, dowody prawdziwej pełnoletności kraju.

Pisma warszawskie w tych czasach ogłosiły sprawozdanie z czynności rocznych Towarzystwa tak zwanych Osad rolnych dla małoletnich przestępców, z którego pokazuje się, o ile ta instytucja korzystnie oddziaływa na umoralnienie chłopców, skazanych przez złe nałogi i wychowanie na zatratę. U nas zawiązuje się podobne towarzystwo opieki, ale już nad więźniami wypuszczonymi z domów karnych. Nie potrzebujemy zachęcać czytelników do brania udziału w tego rodzaju stowarzyszeniu, będącem szczytem najnowszych i szlachetnych filantropijnych poglądów na choroby społeczne. Zapewne lepiej jest leczyć z początku łagodnemi środkami, niż potem odbywać tyle bolesne cięcia amputacyjne.... jest to loiczniej i rozumniej.

Wracając do powyższej wiadomości o stowarzyszeniu w Królestwie, zwracamy uwagę kogo należy, dla czego to w naszych pismach nie spotykamy czegoś podobnego, o takiej naprzykład instytucji jak Zakład Drohowyżski, który tak samo jest instytucją publiczną, stojącą pod nadzorem kraju. Nic też dziwnego, że o niej krążą i drukują się najrozmaitsze wiadomości, komentowane również w najrozmaitszy sposób. Ze sprawozdania Osad Rolnych w Studzieńcu pod Warszawą wiemy, że całkowite otrzymanie jednego chłopca przecięciowo dziennie kosztowało w r. z. 10 kopiejek, a w bieżącym, z powodu drożyzny 17., że warsztaty rzemieślnicze tam prowadzone przyniosły czystego dochodu dwa tysiące kilka set rubli, prócz robót na potrzeby zakładu. O Drohowyżu zaś nic nie wiemy jak tam jest i co tam jest. Słyszeliśmy, że ma być trzysta kilkadziesiąt dzieci i trochę starców, razem do czterystu osób, i że tych utrzymanie kosztuje prócz wolnego lokalu 120000 zł. rocznie — więc trochę więcej niż po 17 kop. dziennie. A jak warsztaty idą, czy i jaki dają dochód, ile się przyjmuje rocznie sierot, ile ich wychodzi na świat, nic a nic nie wiemy. Spodziewamy się zatem, że Administracja fundacji skarbkowskiej zechce nam zrobić tę przysługę, ogłaszając podobne sprawozdanie, co i dla niej i dla Zakładu i dla ciekawości publicznej wyszłoby na pożytek.

* * *

(*B*) Kilka razy zwracaliśmy uwagę na brak wiary ze strony korespondentów pisujących ze Lwowa do gazet Warszawskich, mających szczególniejszą przyjemność czernienia wszystkiego, co tylko istnieje, rusza się i robi w Galicji. Zapewne, że kraj nasz nie jest eldoradem i dużo jest złego w instytucjach naszych, ale niech daruje autor *Leopolitanów* w *Prawdzie* że nie widzimy znów takiej piaszczystej, jałowej pustyni z Galicji, za jaką on nas wystawił, a na której zdawałoby się, prócz jego własnej osoby, nie ma żadnej oazy.... Oszacowawszy piśmiennictwo nasze jako płód Austro-polskiego konstytucyjnego okresu, którego cechą jest rażący brak prawdy, życia i zdrowia z bezgraniczną jałowością — przybrawszy sobie w pomoc Stendhala, Sainte-Beuve'a, Forcada i innych — wsiada obcesem na p. Jana Lama i nicuje go daleko sumienniej niż najbieglejszy partacz krawiecki stary, podziurawiony surdut.

Nie chcemy tu bronić pana Lama, bo jesteśmy przekonani, że on sam da sobie radę, lecz musimy zaznaczyć szczególną przysługę jaką korespondent oddał przyjaciołom swoim, objaśniając publiczność Kongresówki o osobach, które pan Lam ma przedstawiać pod różnemi postaciami w powieściach swoich. Naturalnie, że te powieści jak i kroniki w „Dzienniku Polskim" nic są nie warte i nikt ich nie powinien czytać, chociażby dlatego, że wydawcy wciąż się rujnują, drukując je w trzeciej już edycji. I tak *Panna Emilja* pisaną była w celu prostowania ścieżek hr. Gołuchowskiemu; *Koroniarz w Galicji* w zamiarze złamania wpływu u nas emigrantów z Królestwa; *Głowy do pozłoty* dla sponiewierania domu Sapiehów, dla satysfakcji p. Ziemiałkowskiego; wreszcie *Dziwne Karjery* dla rozerwania stosunku, który wiązał właściciela Dziennika Polskiego ks. Adama Sapiehę z pewnym *literatem nie odznaczającym* się *wielkiemi zdolnościami i wiedzą* (o większą niedorzeczność chyba już trudno)..... Otóż nie wiemy, czy tego rodzaju odkrycie, dokonane przez korespondenta *Prawdy*, będzie przyjemne tym, w czyjej obronie stanął z taką naiwnością i czy nie będą po-

trzebowali modlić się o ochronę przed podobną przyjaźnią.

Nam się zdaje, że publiczność warszawska również nie bardzo zbuduje się odkryciami konstytucyjnej Sahary w Galicji, bo właśnie piaskiem z tej pustyni Moskale zasypywać będą oczy Polakom w Kogresówce, a nawet manifesta do narodu w tym guście jaki wydał dopiero Aleksander III.

W interesie dwóch prawd, to jest prawdy społecznej i *Prawdy* warszawskiej, radzimy, aby jak to zrobiła kiedyś *Gazeta Polska* względem podobnego korespondenta — postąpiła teraz redakcja *Prawdy*, to jest zostawiła w spokoju autora *Leopolitanów* na jego oazie własnej wielkości dopóty, dopóki spokojnie niestrawi wewnętrznej żółci, a pustynia w jego imaginacji stworzona, nie zacznie się zaludniać istotami, podobnemi choćby do.... kacapów.

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

(Ciąg dalszy.)

Jak fatalnym, można powiedzieć gwałtownym sposobem narodziła się wśród nieprawosławnych Słowian pierwsza myśl połączenia się z Austrją, tak również fatalnym sposobem zmuszeni oni byli szukać podpory dla tej idei w Watykanie i w duchowieństwie katolickiem. I znowuż: co mogło być naturalniejszego i czy oni temu winni? Ich wyganiała ze słowiańskiej rodziny religijna nietolerancja; za to, że nie tak się żegnają jak my i nie w takim samym języku modlą się do Boga, jak żegna się i modli najpotężniejsze ze słowiańskich plemion, przed nimi zamykały się drzwi całej słowiańszczyzny — mimowolnie więc musieli szukać ratunku i oręża do walki również w religji i budować swą przyszłość właśnie na tej różnicy wyznań, z powodu której odmawiano im przyszłości. I, rozumie się, wiecznie wojujący, wiecznie z największą gorączkowością silnego przekonania dążący do prozelityzmu — katolicyzm, nie mógł nie skorzystać z takiego usposobienia nieprawosławnych Słowian. Watykan i wprzód zawsze podtrzymywał i podżegał w nich takie usposobienie, a teraz, gdy rozwój jego na wielkie rozmiary stał się koniecznym dla Austrji, nie już jako pozór do wpływu jej na sprawy półwyspu Bałkańskiego, ale dla utwierdzenia tam jej panowania, Watykan, na prośbę i według wskazówek rządu austrjackiego, występuje na scenę w charakterze czynnego działacza. Polityczny kronikarz „Rusi“ mówi między innemi, że „całe chmury katolickich misjonarzów opuściły się na półwysep“. Jest to ogromna przesada. „Chmur“ właściwie nie ma, a nawet gęstemi obłokami nie można nazwać tych misjonarzy, którzy rozsypali się nie po połwyspie w ogóle, a tylko po Bośnii, i w części po Hercegowinie. Z tem wszystkiem misjonarze snują się i propaganda prowadzi się czynnie. Tylko szanowny autor grubo się myli, jeżeli sądzi, że Austrja dąży głównie do skatoliczenia wschodnich Słowian i że katolicyzm stanowi osnowę jej planów. Najzupełniej nie. Do tego stopnia nie, że gdyby nie nieunikniona konieczność pomocy Watykanu, rząd austrjacki chętnieby nie dopuścił do propagandy, a przynajmniej zredukowałby ją do minimum, pozwalając jedynie misjonarzom manewrować z wielką ostrożnością i powolnością; bez wystawienia się zbytecznego na widok. O co innego, a o głupotę Niemców posądzać nie można.

Nie krzyczą oni bez sensu a działają ostrożnie, świadomie odnoszą się i do rzeczy i do sfery, wśród której się obracają i umieją wybrać narzędzia i czas do walki. Nie potrzebowali oni wskazówki z zewnątrz, ażeby zrozumieć, że jak słusznie uważa „Ruś,“ „próba Leona XIII — obmyślona przezeń Unja — może wydać owoce tylko powoli, tylko z czasem, choćby nie bardzo długim, lecz zawsze nie tak prędko, jakby to było potrzebnem Austrji, stosownie do skreślonego dla niej przez Bismarka planu.“ Gdyby w ich ręku była tylko ta broń jedna, to oni prawdopodobnie nie budowaliby nawet swego planu, wiedząc dobrze, jak niepewny grunt przedstawia »Olbrzymia Unja« i jak łatwem byłoby dla tych, w czyich interesach leżałoby im przeszkadzać, wysunąć im ten grunt z pod nóg. Prócz tego, nie będąc głupcami, Niemcy rozumieją, że jakkolwiek religja nie stanowi i nie może nigdy stanowić jednej organicznej całości z narodowością, to wszakże dla ochrony narodowości, dla wzbudzenia jej sił i energji, religja przedstawia środek najpotężniejszy. Zimni i konsekwentni nawet w swoim fanatyzmie, niezdecydowaliby się nigdy ani sami, aniby też pozwolili gorącym Madjarom napaść otwarcie na religijne uczucia plemion słowiańskich, proponując im ni ztąd ni zowąd unję, gdyby nie mieli w zapasie sposobów przedstawić tym plemionom unję jako czystą formalność i rzecz drugorzędną, nie dość na tem — przymusić ich pokochać tę Unję, przekonawszy, że on ona dla nich samych jest korzyścią nieocenioną. Lecz w tem to właśnie leży nieszczęście, że Niemcy takie sposoby posiadają, w tem istotne niebezpieczeństwo, że plany Austrji daleko są szersze, daleko rozumniejsze i przynajmniej na oko (!) daleko liberalniejsze, aniżeli proste nawracanie z jednej religji na drugą w celu udogodnienia pożycia różnych zlewków ludności. Owa doniosłość i liberalizm są tego rodzaju, że bardzo łatwo mogą olśnić nie tylko zlewki, lecz i najbardziej zsiadłe mleko, nawet prawosławnych plemion słowiańskich i dać Austrji właśnie to, czego według słów „Rusi“ księciu Bismarkowi nigdy nie uda się jej dodać „tę jednolitość i tę harmonję jaka potrzebną jest do udania się jej szerokich zamysłów — i wyrobić w sercach różnorodnych, wrogich sobie plemion austrjackich, tę ogólną *narodowościową*, ideę, która by wszystkich połączyła w jedną duszę i w jedno krzepkie ciało.“ Podkreślając wyraz *narodowościową*, kronikarz »Rusi« zdaje się sądził, że to jest coś niemożebnego dla Austrji, i nie podejrzywał nawet, że właśnie *idea narodowościowa* stanowi węgielny kamień wszystkich planów »Austrjackiego Panslawizmu«. Dla czego tak się stało i jakim sposobem stać się mogło, że zawsze ugniatająca, zawsze oddająca na pastwę Niemcom różne w swem państwie narodowości — Austrja naraz mogła stanąć przed niemi jako punkt oparcia dla plemiennych swobód, i samodzielnego rozwoju tychże narodowości i kto jest przyczyną tego nienormalnego (?) zjawiska, wyjaśnimy później, gdy mówić będziemy o drugim momencie rozwoju »austrjackiego panslawizmu«; teraz musimy skończyć z kwestją religijną.

Że wypowiedziane przezemnie zdania nie wylęgły się w mojej własnej głowie, a są rezultatem osobistej mojej, Słowian, w ich teraźniejszem położeniu znajomości, to, mógłbym poprzeć massą faktów, lecz, żeby nie przedłużać bezpożytecznie artykułu, zatrzymam się tylko na jednem, szczególniej wydatnem zjawisku, tem wydatniejszem, że zaszło ono niedawno i w oczach wszystkich. Mówię o kardynalnej zmianie w poglądach i działaniu Czechów. Słowiańskie to plemię, warunki geograficzne postawiły w położeniu gorszem od innych. Inne plemiona mają jakieś wyjście, dotykają wszędzie innych, również słowiańskich plemion i razem z niemi mogą stanowić poważną zaporę naciskowi Niemców. Czesi, z trzech stron zamknięci są przez naciskających na nie Niemców, z którymi walka przechodzi siły tej mikroskopijnej garstki Słowian. Naturalnie, że przy odrodzeniu swem, siłą rzeczy zmuszeni byli szukać dla siebie punktu oparcia na zewnątrz niemieckiej Austrji, i jeszcze naturalniej, że oczy ich i nadzieje zwróciły się ku Rosji. Ich liczne i z początku szczere manifestacje braterskiej dla Rosjan miłości, zanadto są dobrze znane ażebym je tu miał powtarzać. Ale jest jedna okoliczność o której wspomnieć koniecznie należy, dla tego, że na jej przyczyny mało kto zwrócił uwagę, a mówiono o nich jeszcze mniej. Rozumiejąc, że jakkolwiek wielkiemi mogłyby być sympatje Rosjan dla nich, to dokąd oni będą geograficznie odcięci od Słowian, którymi opiekuje się (!!) Rosja, sympatje te urzeczywistnić się nie dadzą, — Czechy zawsze, przy każdej sposobności starali się obudzić myśl i jeżeli można, wprowadzić w życie, pogodzenie się się Rosjan z Polakami.

W tym duchu pisali ich uczeni i dziennikarze, w tym duchu przemawiali ich przedstawiciele za każdym razem, skoro tylko zdarzyło się im zbliżyć do Rosjan. I nie było to tylko teoretyczną dysertacją z ich strony, nie — w kierunku tym zwróconą była opinja publiczna całego kraju, któremu zdrowy instynkt narodowy mówił, że Czechy dla Słowian i Słowianie dla Czechów nie będą stracone wtedy tylko, gdy wśród nich stanie znowu, choćby i nie samoistnie, ale zawsze jako żywy i czynny organizm, to jedyne słowiańskie plemie, do którego dotykają Czechy, to jest Polacy. Nie ma Polaków, nie będzie geograficznej ciągłości Słowian, a przedewszystkiem — co dla Czech rozumie się najważniejsza — nie będzie Czechów.

Otóż to oni rozumieli dobrze, i dla tego nie przestawali nigdy mówić o pojednaniu się dwóch głównych słowiańskich narodowości. Czy potrzebuję przypominać, jak przyjętą została ich mowa? Któż nie zna znakomitej odpowiedzi księcia Czerkaskiego na słowa Riegera na zjeździe słowiańskim w Moskwie? Ochłodziło to bardzo Czechów, lecz nie zmniejszyło ich sympatji do Rosji i ich nadziei na nią. Przyznając, jak trudno zatrzeć od razu ślady wiekowej, historycznej nienawiści, Czechy, nie bezpodstawnie liczyli, że stara historja będzie musiała ustąpić nakoniec miejsca żywym i żywotnym interesom teraźniejszości, i że Rosja jeżeli rzeczywiście dąży do odrodzenia Słowian, a nie żywi poronionych marzeń o Bizantyjskiej spuściźnie, będzie zmuszoną, prędzej czy później, dać należne miejsce i Pola-

kom, bez których ani myśleć nawet o zjednoczeniu Słowian pod jakąkolwiekbądź postacią. Jednakże nadzieje te rozpraszały się powoli, a rozpraszały tem więcej, czem większa liczba Rosjan, zwłaszcza uczonych, przyjeżdżała do Pragi, dla wylewania swych czułych uczuć do drogich braci Czechów. Z nienaśladowaną—dla mnie prostego, nieuczonego człowieka poprostu niepojętą—naiwnością, nasi panowie uczeni, przyjeżdżając do bezspornie słowiańskiego, katolickiego kraju, przedewszystkiem bili w tożsamość słowiańskości z prawosławiem. Bywały mowy, w istocie zdumiewające. Jeden profesor, międzynarodowego prawa np. będąc w gościnie u czeskiego profesora i zapaławszy oburzeniem wskutek skromnej uwagi jednego z obecnych względem ulubionego marzenia Czechów — pojednania Rosjan z Polakami, wygłosił długą mowę, w której dowodził, że my, „powinniśmy Polaków zadławić", między innemi dla tego, że oni rzymsko-katolicy; a ponieważ Rzym nigdy nie pojmował prawdziwego ducha chrystjanizmu, który pojmuje jedynie i urzeczywistnia prawosławie, to między tem ostatniem a Rzymem nie może być ani pojednania, ani żadnej tranzakcji. Inny profesor, tylko już nie prawa, a rosyjskiej literatury w jednym z nierosyjskich uniwersytetów, człowiek bardzo dobry, wyrażał, mówiąc o tymże przedmiocie, głęboki żal do Polaków, których on, jak mówił, bardzo lubi, bo oni naród *sławny*, pomimo to jednak nastawał na bezwzględną konieczność „zgniecenia" ich, jako rzymsko-katolików. Tu, jak widzicie, znikła nawet zupełnie idea słowiańska — pozostało samo prawosławie. Nie będę zatrzymywał uwagi czytelnika na oburzającej naturze, a przytem na komiczności podobnych mów „o zgnieceniu" całego narodu w ustach profesorów, z których na dobitek, jeden profesor prawa; lecz przedstawcie sobie efekt tych mów na katolików i to na katolików nader gorliwych. Nie zapominajcie przytem i tej okoliczności, że w Pradze, gdzie koncentruje się prawie cała czeska inteligencja, a przynajmniej czynna i wpływowa, wszyscy z sobą się znają i znajdują się w mniej więcej poufałych stosunkach, tak, że nie ma sposobu mówić z kimkolwiek pod sekretem: co wyrzeczonem zostało w jednym domu, albo do jednej osoby, to natychmiast staje się wiadomem wszystkim. Gdybyż jeszcze mówiło tym zdumiewającym tonem 3—4—10 Rosjan, ale to wszyscy, prawie bez wyjątku, a przytem tacy i wśród takich okoliczności, które kazały Czechom koniecznie myśleć, że panowie ci są przedstawicielami nie tylko opinji publicznej lecz i rosyjskiej polityki. W tymże samym czasie była pomyślaną i z niezwykłą skwapliwością wprowadzoną w wykonanie budowa prawosławnej świątyni w Pradze, z ustanowieniem przy niej rosyjskich księży i rosyjskiego kleru. Ponieważ w Pradze nie mieszkało nigdy więcej nad pięciu Rosjan na raz, i gdy oprócz Rosjan, innych prawosławnych tam nie ma, to Czechy, naturalnie, musieli uważać to wzniesienie prawosławnej świątyni jako pierwszy krok w celu nawrócenia ich na prawosławie, na „wiarę ich ojców", jak to u nas Bóg wie dla czego, często się wyrażano. Zresztą gdyby oni sami nie byli wytłómaczyli sobie tego w ten sposób, to kochający ich przyjaciele i bracia postarali się nie dopuścić ich do takiego smutnego błędu. Redaktor i wydawca „Rusi" otwarcie, bez skrupułów, w formie listu do Riegera, wezwał Czechów, ażeby przyjęli prawosławie.

List ten, był jakby kubłem zimnej wody, wylanej na głowę biednych Czechów. Stał się on punktem zwrotnym w ich polityce. Dotąd czeska inteligencja, nie żywiąc serjo żadnych nadziei na Rosję, podtrzymywała jednakże bardzo ożywione z nią stosunki, czyli, używając ulubionego i w danym razie trafnego wyrażenia Niemców „kokietowała z Rosją". Robiło się to w bardzo wyraźnym celu, przestraszania Niemców, którzy zresztą, zauważam mimochodem, straszyli się bardzo mało, chociaż, na wszelki przypadek obserwowali Czechów. Po liście p. Aksakowa nawet kokietowanie stało się niemożliwem dalej. Opinja publiczna, nawet wśród prostego czeskiego ludu zrozumiała nakoniec, że Czechy nie mogą niczego oczekiwać od Rosji i zwróciła się w kierunku zbliżenia się do Niemców. Usiłowania najbardziej wpływowego człowieka w całych Czechach, Riegera, któremu dawniej dość było wyrzec słowo, ażeby go wszyscy usłuchali bez oporu, nie doprowadziły do niczego. Ażeby nie stracić ostatecznie popularności, musiał i on ustąpić żądaniu ogółu, które podtrzymywał lud, wyrzec się swego ubóstwianego dziecięcia — biernej polityki i iść do wiedeńskiej Rady państwa. Co więcej, on, namiętny wróg Niemców, musiał po razy kilka na zgromadzeniach publicznych wypowiadać słodkobrzmiące mowy o pojednaniu się z nimi na gruncie interesów ogólnej ojczyzny — Czech. I dziewięć dziesiątych tych, być może (ja osobiście twierdzę nawet stanowczo) nie nieszczęśliwych dla Czechów, lecz w każdym razie bezużytecznych dla słowiańskości rezultatów, sprowadził list p. Aksakowa, o czem on łatwo przekonać się może, jeżeli, ceniąc prawdę a nie głośne i puste frazesy, spróbuje osobiście lub za pośrednictwem zaufanych przyjaciół, sumiennie i bezstronnie zbadać tę sprawę na miejscu.

(Dokończenie nastąpi).

POLACY W URAGUAJU.

Czytaliśmy szereg listów pisanych z drugiej półkuli, z Montevideo, stolicy rzeczypospolitej Uraguajskiej...

Autorem tych listów jest: *profesor Ricardo de Powal Czyszkowski, Quimico, Ex-Alumno de la Escuela de Quimica y Farmacia en Montepellier, Inspector Quimico de la Comision de la Salubridad Publica etc.*

Z listów tych dowiadujemy się, że p. Ryszard Czyszkowski znaglony okolicznościami opuścił kraj i w r. 1864 wszedł do uniwersytetu w Montpelier, gdzie uzyskał stopień naukowy.

Poświęciwszy się następnie zawodowi farmaceutycznemu, zarządzał przez lat parę aptekami we Francji, lecz nie widząc w tym zawodzie dla siebie przyszłości, w r. 1869 wyjechał do Ameryki i dostał się do Montevideo...

Nauczywszy się po hiszpańsku, mianowany został przez rząd tameczny inspektorem-chemikiem komisji zdrowia publicznego i urząd ten piastuje do obecnej chwili.

...„W epoce mego przyjazdu — pisze p. Czyszkowski — kraj ten ogromnie postępował; handel, kredyt i przemysł z dnia na dzień wzrastały dzięki rządowi, który się opierał na opinji większości mieszkańców.

Zarabiałem stosunkowo dużo, gdyż samego żołdu miałem 120 piastrów, t. j. blisko 600 franków miesięcznie, nie rachnjąc robót prywatnych.

W następstwie skusiło mnie założyć aptekę, lecz w tym kraju apteka jest handlem, a do handlu potrzeba jak wiadomo być Żydem, Niemcem, Grekiem lub Hiszpanem; po kilku latach straciłem wszystko, na domiar zaś nieszczęścia przyszły rewolucje, co parę miesięcy zmiany rządu, w końcu dyktatury, z niemi ruina i upadek kraju".

W tej epoce kolonja polska w Montevideo składała się z dwóch braci Jurkowskich i Czyszkowskiego, autora listów.

Jeden z Jurkowskich Juljan, doktor, mieszka tam dotąd, drugi Józef był pianistą i zarabiał do 2000 franków miesięcznie, lecz w maju 1879 r. burzliwe życie zakończył.

Obecnie kolonję polską w Uraguaju składają: dr. Juljan Jurkowski, lekarz, pan sporej fortuny uzbieranej własną pracą, drugi, Ryszard Czyszkowski, trzeci, Erazm Skotnicki zwany tam de Bogorja, który poświęcił się pedagogice i dziś jest inspektorem departamentalnym szkół w Cerro-Largo, żonaty i jak pisze p. Czyszkowski, „jak my pozostali oczekuje, by zrobić majątek"; czwarty wreszcie Jan Łukasiewicz, budowniczy, twórca okazałego szpitala dla obłąkanych w Montevideo.

„Jak widzisz — są słowa autora listów — wszyscy mamy pozycję naukową aż się krajowcy dziwią, mówiąc, że Polska to musi być szczęśliwy kraj, gdyż w nim ludzie wszyscy muszą coś umieć"...

„Kraj ten — pisze dalej p. Czyszkowski — byłby tu dobry i to jedynie dla ludzi, którzy coś umieją, gdyby panował w nim... porządek!

Mieszkańcy są w połowie cudzoziemcami a w połowie synami cudzoziemców, zwani synami kraju, albo orjentalnemi; pierwotnych mieszkańców, tak zwanych Ciarnas, zupełnie nie ma.

Klimat dość znośny pomimo strasznych upałów w lecie i przejmującego wiatru zwanego *pampero* w zimie.

Życie w mieście jest zupełnie europejskie, lecz drożyzna okropna; dość powiedzieć, że od szpilki do buta, od stołka do garnka, wszystko trzeba z Europy sprowadzać, nawet produkta do życia, mąkę, jednem słowem, wszystko, gdyż kraj prócz bydła i wełny, nic nie produkuje, nie dlatego żeby nie mógł, lecz że nie ma rąk do pracy.

Kraj ogromny, dwa razy większy niż Francja, liczy zaledwie pół miljona mieszkańców, z tych 200,000 mieszka w stolicy.

Żebyś miał pojęcie o drożyźnie tutejszej, wiedz, iż nędzna służąca zarabia 15 piastrów, t. j. 120 złotych miesięcznie, oprócz pożywienia, prania i mieszkania, lecz i wydawać musi stosunkowo.

Julek (Jurkowski) za wynajęcie domu z 12 pokoi płaci 110 piastów, t. j. 550 franków, blisko 1100 złotych miesięcznie, z czego łatwo wniesiesz, że tylko prości wyrobnicy prędko do czegoś przyjść mogą, gdyż zarabiają 10 lub 15 złotych na dzień, a jedząc jak Włosi lub Hiszpanie chleb i cebulę, w kilkanaście lat muszą grosza uzbierać.

Ludzie przyzwyczajeni żyć dobrze, tylko jakimś trafunkiem, szczęśliwą grą interesów mogą przyjść do czegoś większego, gdyż zarabiając, lub mając renty 2 lub 3 tysiące franków

na miesiąc, żyje się tu dobrze, lecz tylko się żyje i nic więcej!

Iżby poznać prawdziwe stosunki tego kraju i uwierzyć w to co piszę, należy żyć tutaj i patrzeć własnemi oczyma".

Pan Czyszkowski na wygnaniu tem stworzył sobie rodzinę przez zawarcie związków małżeńskich z panną Oktawją Ferrez, córką b. kasjera komory, człowieka wcale zamożnego, mającego cztery domy w stolicy i willę w jej okolicach.

W Montevideo przybrał rodak nasz nazwisko de Powal, gdyż jego prawdziwego nazwiska nikt z tamecznych mieszkańców wymówić nie jest w stanie.

Żona jego w ojczyźnie podpisuje się Oktawia Ferrez de Powal, pisząc jednak do familji męża, mieszkającej w Królestwie, podpisuje się Czyszkowska...

„Od lata, t. j. listopada, są słowa p. Czyszkowskiego — mieszkam w willi, zwanej w tym kraju *quinta* (kinta); (willa mojej żony nazywa się Athaqualpa), dopiero w połowie kwietnia na zimę myślę zjechać do miasta."

A propos zmian politycznych w tym kraju pisze p. Cz.:

„...Już długi czas upływa, jak się nic nie robi, kryzys banków, brak kredytu, wojny jedne po drugich następują — od czterech lat sześciu mieliśmy prezydentów, a zmianom takim akompaniuje zawrot finansowy".

Pomimo jednak tak smutnego położenia politycznego, rząd nie żałuje nakładów na oświatę publiczną.

„Jak tylko sobie pomyślę o łatwości edukacji dzieci w tym kraju, gdzie nietylko nic się nie płaci, lecz jeszcze książki, nawet papier i pióra rząd wszystkim żądającym daje, łzy mi stają w oczach, żałuję, że choć ze dwadzieścioro mieć ich nie mogę"...

P. Czyszkowski wreszcie, jak z listów jego widzimy, jest członkiem wielu towarzystw naukowych tak tamtego kraju, jako też brazylijskich i argentyńskich i wyznaczanym bywa do wszystkich komisyj naukowych.

Wiadomości powyższe podajemy w tem przekonaniu, że zawarte w nich szczegóły tak co do naszych współziomków, jakoteż i zamieszkiwanego przez nich kraju, nie będą obojętne i dla ogółu czytelników i dla znajomych i krewnych czterech naszych rodaków rzuconych losem na drugą półkulę.

T. Marenicz.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Rocznik zbiorowy* prac naukowych na rok 1880. 8-ka, str. 311 i 4 tablic litografowanych. Warszawa 1880. 1 zł. 92 ct.

— *Roszkowski Gustaw.* O poglądach Moltkego na prawo wojny. 8-ka, str. 32. Lwów 1881. 30 ct.

— *Scherr dr. Jan.* Historja literatury powszechnej według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego, tom I. zeszyt I. 8-ka, str. 160. Warszawa 1881. Cena za całość 7 zł. 50 ct.

— *Schwartz M. Z.* Przygody mojego życia, powieść ze szwedzkiego, 2 tomy, 8-ka, str. 133, 136. Lwów 1881. 2 zł. 60 ct.

— *Selingerowa Julja.* Geografja powszechna dla szkół publicznych, wydziałowych, i zakładów prywatnych. Wydanie drugie skrócone i poprawione, 8 ka, str. 306. Tarnopol 1880. 90 ct.

— *Siemieński Jan ks.* Lud wiejski, pogadanka, 8-ka, str. 58. Lwów 1881. 30 ct.

— *Słupski Zygmunt.* Sprytny podlotek. Obrazek sceniczny w jednym akcie, 8-ka, str. 34. Warszawa 1880. 30 ct.

— *Sosnkowski Józef.* Złoto, srebro i drogie kamienie. Podręcznik dla pragnących obeznać się z wartością i próbą złota i srebra w monecie i wyrobach, oraz wartością drogich kamieni. 8-ka, str. 144. Warszawa 1881. 2 zł. 25 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Pan Stanisław Tomkiewicz napisał i wydał w Krakowie poemat p. t. „Pieśń Miłości", składający się z ośmiu ustępów. Nie chcemy irytować autora długim rozbiorem jego poematu — powiemy tylko, że forma jest naśladowaniem to Słowackiego, to Krasińskiego, bardzo bladem, rymy niemożliwie pospolite, treść prawie żadna, a nastrój zbyt wysoki:

«Chwała — tą pieśnią! którą jak Ty Boże
Tworzysz co zechcesz, tak i ja ją tworzę»
. . . .
«Ludziom za życia, ale śpiewać tobie (kochance)
Będę i w życiu i tam, nawet w grobie»

Po co to pisać takie rzeczy!

*** Rodzina Scherrów znaną jest w Niemczech od początku bieżącego wieku.

Dwaj bracia Tomasz oraz Jan i żona tegoż położyli znakomite zasługi na polu pedagogiki tudzież historji.

Firma Gebetnera i Wolffa ogłasza właśnie pomnikowe dzieło dra Jana Scherr'a: »*Algemeine Geschite der Literatur*« w przekładzie Bronisława Zawadzkiego.

Książka ukaże się w dwóch tomach i obejmie rozwój piśmienniczy od zarania dziejów ludzkości na wschodzie aż do chwili obecnej, tak, iż fakta z roku bieżącego pomieszczone w niej będą.

Zdaje się, iż wyjaśnienie doniosłości podobnego zbioru byłoby zbytecznem przy względzie, że autor jest znakomity a literaturze naszej braknie tej treści podręcznika.

*** Sztuka polska w Paryżu znalazła szerokie ujście na tamecznym popisie wystawowym.

Artyści nasi zasilili dział malarstwa i rzeźby nader obficie, w katalogu bowiem figuruje 39 pozycyj zapełnionych przez naszych ziomków.

W dziale malarstwa wystawili:

Kazimierz Alchimowicz: „Epizod z wojny Polaków z Austrjakami w roku 1587".

Władysław Bakałowicz: „Portret pani A. R". i „Uroczystość na dworze Henryka III."

Aleksander Cetner: „Zamek."

Józef Chełmoński: „Wśród stepu" i „Pochód kozaków."

Artur Gąsowski: „Poranek."

Leopold Horowitz: „Portret."

Adrjan Karbowski: »*Le bras Mignot à Poissy.*»

Leopold Kowalski: »*Daphnis et Chloë.*«

Gustaw Krabiński.: „Kain i Abel."

Adolf Nikesłowski: „Modlitwa przed bitwą" i „Wypadki z roku 1863."

Antoni Piotrowski: „Podwórze polskie" i „Ranny z roku 1863."

Witold Pruszkowski: „Portret."

Lucjan Przepiórkowski: „Przedmioty kosztowne."

Andrzej Słomczyński: „Ogród warzywny."

Pantaleon Szyndler: „Modlitwa w seraju" i „Portret p. S."

Edward Zier: »*Mort d'Aude*« i „portret pana de L..."

Wiktor Kazim. Zier (ojciec Edwarda): »*Echo pleurant Narcisse*« i „Portret pana M. G."

W dziale rysunków spotykamy panny:

Duchińską i Grabowską z paniami Zaborowską i Zaliwską.

Tu występują także Antoni Kwiatkowski jako akwarelista i Leon Ostrowski.

W dziale rzeźby mamy siedmiu polskich artystów:

Antokolski z Wilna: „Statua z gipsu".

Klemens Boryczewski: „Dwa portrety".

Panna Luda Dąbrowska z Wilna: „Portret pani D.." (popiersie z gipsu.)

Cyprjan Godebski: „Perswazja", grupa z gipsu i „Popiersie" z terrakotty.

Marceli Gujski: „Portret dra G.", popiersie z bronzu.

Juljusz Łosik z Krakowa: „Popiersie dra C. H." z gipsu.

Panna Matylda Marja z Warszawy „Medaljon" z bronzu.

Nareszcie w dziale rytownictwa panna Marja Plużańska wystawiła rycinę: „Portret księżny***."

Społeczne i ekonomiczne.

*** Pszenica australska niezadługo stanie do ważnego współzawodnictwa na targach europejskich z pszenicą amerykańską. Donoszą bowiem, że w Melbourne zawiązanem zostało wielkie stowarzyszenie rolników australskich z kapitałem półtrzecia milionów franków, mające na celu wysyłanie pszenicy do Europy.

*** *Times* donosi, iż w Mount Brown w (Australji) odkryto nowe kopalnie złota; gazety ostrzegają jednak, iż poszukiwacze złota podlegają ciężkim cierpieniom ócz.

*** Pewien oficer saski zajmuje się od dawna studjami nad zabezpieczeniem piersi żołnierza od kuli nieprzyjacielskiej...

Wynalazł on przyrząd kruszcowy do piersi przystający, któryby zasłaniał płuca i serca przed kulą broni ręcznej.

Zrobiono ku temu płytę stalową $1^1/_2$ mm. grubą 35 cm. szeroką, 25 cm. wysoką 1 kilo 75 gr. ciężką.

Wewnętrzna strona wysłaną jest cienką warstwą wełny przymocowanej do wierzchniej płyty z angielskiej stali, mającej giętkość i twardość zwyczajnego stalowego pióra.

Zeszłego piątku dokonano w Lipsku kilka prób z wspomnionym napierśnikiem, przymocowanym do tarczy drewnianej na odległość 175 metrów.

Dwóch celnych strzelców złożyło się... dano jedenaście strzałów... ośm strzałów tylko trafiło.

Jedna kula o brzeg napierśnika trąciła a wyrwawsy kawał kruszcu odskoczyła.

Kule które trafiły w sam napierśnik i przeszły, leżały zupełnie spłaszczone między watą i tarczą drewnianą — inne kule pozostawiły tylko nieznaczne zagłębienia na płycie...

Próba ta dość szczęśliwa spowodowała znakomitego technika do dalszych ulepszeń napierśnika...

Z Drukarni „Gazety Narodowej" Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.